Cena numeru 8 zł.

RÓZGI
BIJĄ CO TYDZIEŃ

Rok I | 1 Wrzesień 1946 | № 4

Z powodu wizyty wielkiego przyjaciela Polski naczelnego dyr. U.N.R.R.A., Fiorello La Guardia



Rys. H. TOMASZEWSKI

Dziękujemy za już, prosimy o jeszcze!

Obywatel Rózga ma głos



Sprzątam, obywatele, onegdaj podwórze, a tu z klatki schodowej wysuwa się chuda, obdarta facecina. Ano, myślę, pomyka za swoją potrzebą, to go i nie zatrzymywałem. Tymczasem, proszę was, chudzielec staje sobie po środku i kikuje bezczelnie na całą kamienicę. Przedstawicielem bezpieczeństwa z ramienia Zabezpieczonej Administracji poniekąd będąc, zaraz, ma się rozumieć, ja do niego:

— Pan tu, obywatelu, względem czego?

A ten, oczu z kamienicy nie spuściwszy, powiada z westchnieniem:

— Podziwiam.

— Podziw podziwem — zaznaczyłem ostro — a potem bielizna ze strychu zniknie. Zawsze się od podziwu zaczyna.

Facet widać żadnego wyrobienia nie posiadał, bo uwagę puścił mimo uszu i ciągnął dalej:

— Ładnie tu wam się mieszka. Dom duży, dwie oficyny. Ciekaw byłbym wiedzieć, ilu też lokatorów?

Odrazu mi przez głowę przeszło, że coś z gościem nie w porządku. Poprawiłem w garści narzędzie pracy i jazda na obdartusa:

— Ilu lokatorów? W komisariacie się pan zaraz dowiesz, Ptaszek, psiakość, podejrzany. Kamienicy o paru piętrach, udaje, nie widział...

— A nie widziałem — rzecze facet spokojniutko — słowo daję, nie widziałem. Dawno takiej nie widziałem.

— A niby mieszkasz pan — gdzie? Na wsi w chalupie?

— Nie, w mieście, w ziemiance. U nas tak wszyscy.

— Cóż to za miasto, do stu rózeg? — krzyknąłem zdziwiony, bo mi się historyjka zdała od początku bardzo podejrzana.

— Warka. Nad Pilicą. Powinieneś pan słyszeć...

Przerwał, bo zebrała się pod ten czas cała ferajna z kamienicy, wydając groźne polecenie: Rózga, trzymaj złodzieja! Tylko ob. Czyżyk, metalowiec z rodziną i człowiek rozsądny, zachował, jak to się mówi, zimną krew.

— Spokój! rzekł do całego towarzystwa — Spokój mu dajcie, powiadam. O tej Warce to sam niedawno w gazetach czytałem. Że tam paru ważniaków przyjechało z O.N.Z....

— Racja — potwierdził facet — Cała komisja. Goście z zagranicy, ministrowie, Urząd Planowania, S.P.B. Zniszczenia oglądali wojenne. Bo Warka, uważacie, poszła w drebiezgi. Dlatego tak się gapię na waszą kamienicę. Myślę — wam tu dobrze.

— Akurat — oburzył się ob. Piwarczyk, ojciec dzieciom, zamieszkujący w pięć osób na poddaszu. Mieszkania mamy bardzo marne.

Chudziak popatrzył na niego z uśmiechem i westchnął:

— Dziękujcie Bogu, że macie choć i takie. Cieszcie się, żeście pod dachem, nawet dziurawym. Bo my, cała Warka, od zakończenia wojny w norach ziemnych, jak zwierzęta. Tak powiadam wam, bytowali ludzie przed potopem. Gościom zagranicznym aż oko zbielało. W całej Europie zauważyli, takich zniszczeń nie ma...

— No, dobrze — wtrącił praktyczny Czyżyk — Zauważyli i co z tego?

— A wyrażili współczucie, że wojna straszna rzecz, po czym pojechali oglądać S.P.B. Bo S.P.B. już drugi rok szykuje jak najlepsze plany odbudowy oraz projektuje najbardziej zdatne materiały budowlane.

Doświadczenia już nawet robią przy pomocy pokazowej chałupy w Piasecznie. A my narazie w norach drugi rok czekamy, ma się rozumieć, na wyniki.

— Jasne — rzekł Czyżyk — Nie odrazu Kraków zbudowano. I też według planu. Ale plany planami, a ludzie, do djabła, nie mogą gnić po norach i gości zagranicznych straszyć. Baraki tymczasowo, choćby najtańsze im wystawić i już!

A ob. Majonez, który przysłuchiwał się rozmowie, odrazu przytaknął.

— Baraki? Złota myśl! Niech je wystawią, a ja tam zaraz założę sklep dla pogorzelców! Trzeba przecież jakoś pomóc tym biedakom!

Horacy Safrin

Oda do ludzkości

Ludzkości — świata tragiczna diwo,
kiedy odetchniesz swobodnie,
kiedy się wreszcie twoja cierpliwość
urwie jak guzik u spodni?

Kiedy niesławną porzucisz scenę,
draperie sztucznych obłoków,
i wyzwolona wyjdziesz en plein air
z pałacu „tłumionych kroków"?

I nie zawierzysz onym swych losów
co „zwykłą" czy „absolutną"
większością swoich przedajnych głosów
śmiertelne tkają ci płótno!

Tym co odwieczną twoją tęsknotę
w mroczne zagnali kulisy
i uczynili targów przedmiotem
„komisyj" i „podkomisyj"...

Kiedyż nie będzie szczytem herezji
złoty twój sen o wolności —
kiedy zapląsa lud Polinezji
i słońce w Indiach zagości?

Kiedyż Hellada, jako za młodu,
znów się geniuszem rozetli
i będzie Grecją z woli narodu —
a nie Bevina i Attlee?

Kiedyż w twej głowie zaświta prawda,
ż dzielisz los szczutych zwierząt —
że świat nie baza, że krew nie nafta,
że rządem nie zwie się nierząd? — —

Na cztery wiatry przepędź złe mistrze
gwałtu, intrygi, rozboju!
Ludzkości! — Nosisz w swoim tornistrze
gałąź oliwną pokoju!..

Złam dziejopisa skrzypiące pióro
zażyj z powrotem beztrosko —
o, Melpomeny tragiczna córo,
skończ twą „Komedię Nie-boską"!

Liga Obywatelska Kobiet, specjalne komitety społeczne i t. d. organizują serdeczne przyjęcie pierwszych powojennych poborowych



Rys. K. Grus

A kto chce roz'oszy użyć,
niech idzie do wojska służyć!

Zastrzyk kobiecości

2 kwietnia. — Dziś miałam oryginalną propozycję. Znajomy mój dziennikarz, Paweł Otoczko, wpadł na pomysł, abyśmy rozpoczęli pisanie do spółki powieści. Wychodziłaby ona w odcinkach gazety, w której Paweł pracuje. On sam ma za mało czasu, aby pisać codzień, poza tym twierdzi, że ,zastrzyk kobiecości" dobrze wpłynąłby na akcję. Ano, spróbuję.

3 kwietnia. — Uzgodniliśmy ogólny schemat. Ma to być powieść kryminalno-erotyczna o podłożu społecznym, dostosowanym do dzisiejszej rzeczywistości. Bohaterką będzie robotnica z fabryki nici. Kocha się w niej rozparcelowany hrabia, ale ona nie chce go przyjąć (choć ładny, szelma!), bo ma zanadto reakcyjne poglądy. Poza tym w grę wchodzi szabrownik, który ofiarowuje robotnicy luksusowe mi zkanie i auto, ale szlachetna dziewczyna odrzuca tę niecną propozycję. Szabrownik mści się (jeszcze nie wiemy jak). Wszystko kończy się dobrze. Czarny charakter wędruje do robót przymusowych, hrabia zaczyna czytać „Kuźnicę" i zmienia poglądy, robotnica oddaje mu swą rękę.

Do jutra mam oddać pierwszy odcinek. Otoczko napisze drugi na pojutrze i tak już będziemy na zmianę.

10 kwietnia. — Idzie nam wspaniale. Powieść wzbudza ogólne zainteresowanie. Do redakcji przychodzą listy od czytelników. Znajomi patrzą na mnie z szacunkiem. Jak to przyjemnie być sławną!

15 kwietnia. — Dziś Otoczko zrobił mi brzydki kawał. W moim wczorajszym odcinku napisałam, że Jadzia (robotnica), zmęczona uczciwą pracą, wróciła do domu i położyła się spać. W dzisiejszym numerze przeczytałam, że Kupść (szabrownik) zastukał do jej mieszkania, obudził ją i zaproponował wspólne pójście na dancing. A ona — poszła! Oburzające! No, ale ja im pokażę!

16 kwietnia. — Zawróciłam Jadzię ze złej drogi. Podczas jazdy dorożką obraziła się na Kupścia, dała mu w papę, wyskoczyła, pieszo wróciła do domu i położyła się spać.

17 kwietnia. — Bydlę! Znów przysłał Kupścia do Jadzi. Z kwiatami (musiał wyszabrować całą kwiaciarnię), upadł na kolana, przeprosił i ubłagał, żeby jednak poszła z nim na dancing. Mało tego — zdążył ich dowieźć do drzwi lokalu. No, ale zobaczymy, kolego, kto będzie górą!

18 kwietnia. — Jadzia podczas gdy Kupść oddawał w szatni swoje palto, zawróciła na pięcie, wybiegła na ulicę, wróciła do domu i położyła się spać.

19 kwietnia. — Znów ją obudził, przeprosił, zawrócił na dancing i w dodatku zamówił likier.

Z Otoczką nie rozmawiałam. W redakcji udaję, że go nie widzę, choć kłania mi się ze złośliwym uśmiechem. Poczekajmy, jutro ja będę się śmiała.

20 kwietnia. — Pozwoliłam Jadzi wypić kieliszek likieru, ale potem kazałam obrazić się na Kupścia za zbyt frywolny dowcip, zaprowadziłam do domu, położyłam spać i zmusiłam przespać całą noc, a rano iść do fabryki. W dodatku, zostawiwszy Kupścia w knajpie, spiłam go

21 kwietnia. — Otoczko zrezygnował z szabrownika, ale zato kazał hrabiemu zamiast „Kuźnicy" kupić „Tygodnik Powszechny".

22 kwietnia. — Hrabia wyśmiał Kisiela, podarł „Tygodnik" i z zainteresowaniem przeczytał Żółkiewskiego.

I co teraz, panie Otoczko?

23 kwietnia. — Ach tak? To pan robi z hrabiego zakonspirowanego reakcjonistę? Każe mu grać podwójne życie? Dobrze!

24 kwietnia. — Zabiłam hrabiego.

25 kwietnia. — Boże! Otoczko zabił mi Jadzię! Przejechał ją autem.

26 kwietnia. Zamordowałam szabrownika. Spadł z dachu pociągu, jadąc na Dolny Śląsk. Ha, ha, ha!

27 kwietnia. — Otoczko urządził pogrzeb wszystkim trzem ofiarom. Ale nie jego będzie za grobem zwycięstwo.

28 kwietnia. — Jadzia była tylko w letargu. Obudziłam ją, wznieciłam na pogrzebie panikę i odwiozłam dziewczynę do domu, poznajamiając ją pozatym z przystojnym karawaniarzem.

Otoczko chodzi blady z błędnymi oczyma.

29 kwietnia. — Wskrzesił hrabiego!

30 kwietnia. — **Wskrzesiłam Kupścia!**

1 maja. — Otoczkę odwieźli wczoraj do szpitala wariatów. Piszę dalej sama. Dziś posłałam wszystkich bohaterów na pochód. Hrabia kroczył w pierwszym szeregu.

Gdyby to zobaczył Otoczko, zwariowałby drugi raz.

Irena Tomska

Stanisław Sojecki

Pieśń nagminna

(według Mickiewicza)

Ktokolwiek będziesz kiedyś w naszej stronie,
Do gąszcza ciemnego boru
Wjechawszy, cofnij natychmiast twe konie,
Żebyś nie stracił humoru.

Ciemnota tu swe rozprzestrzenia łona
Tak olbrzymiego obwodu,
Że, bez przesady — z śmiechu można konać
Z owej przywary narodu.

Jeżeli nocną przybliżysz się dobą,
Okrążą cię czarownice;
Tak cię oplotą, tak zatańczą z tobą,
Że wszystkie ujrzysz księżyce.

Gdy oko ścieżki właściwej nie sięga,
Prawdy nie różni od mitu —
Zdajesz się wisieć w środku widnokręga,
Jak lampa w środku sufitu.

Tak w noc niejedna złapie cię potwora,
Ucho z uporem ci łudzi,
Lecz, żeby w nocy wysłuchać ten chorał,
Najgłupszym trzeba być z ludzi.

Bo jakie jęzor tam wyprawia harce,
Jakie się larwy szamocą —
Drżę cały, kiedy bają o tym starce
I strach wspominać przed nocą.

W miasteczku pewnym, wieczorową porą,
Wśród wichrów zgiełku i wycia,
Żonie burmistrza upadła w bajoro
Zwyczajna igła do szycia.

Burmistrz przybory zebrać kazał w mieście
I wielkie sypie wydatki —
Związano niewód głęboki stóp dwieście,
Budują czółny i statki.

Niewód się topi, pławki na dół spycha,
Przepaść bajora głęboka;
Prężą się liny, niewód idzie z cicha,
Pewnie nie złowią ni oka.

Na brzeg oboje wyjęto już skrzydło,
Ciągną ostatek więcierzy.
Powiem — że, jakie złowiono straszydło?
Choć powiem — nikt nie uwierzy!

Powiem jednakże — Nie straszydło żadne
Ni żaden potwór obrzydły:
Z sieci, co igłę poszukała na dnie —
Dobyto olbrzymie widły.

Wieść już pod miastem i wioską i siołem,
Roznosi się, szerzy bez kary —
Szepcą przy studni, w maglu, pod kościołem —
Jakież to w Polsce są — c z a r y!

Włodzimierz Słobodnik

Rys. H. Tomaszewski



Proszę pana szanownego,
We śnie jam Churchilla strzygł i
Rozmawiałem z nim na migi,
Nie znam bowiem angielskiego.

Lecz choć nie znam angielskiego,
Choć na migi z nim gadałem,
Proszę pana szanownego
Wszystko w mig ja zrozumiałem.

Bo na pamięć każdy z nas zna
Wszystkie przemówienia jego,
Że „kurtyna", że „żelazna";
Proszę pana szanownego.

Że blok nowy się pitrasi,
By nie stało się coś złego,
A blok stworzą Anglosasi,
Proszę pana szanownego.

Po angielsku kto nie szczeka,
Zdaniem lorda brytyjskiego,
Nie wart miana jest człowieka,
Proszę pana szanownego.

Ja na migi mu przeczytam!
„Co pan pleciesz? Co takiego?...
Lecz się nagle obudziłem,
Proszę pana szanownego.

Włodzimierz Słobodnik

O MURZYNACH W DEMOKRATYCZNEJ AMERYCE

W USA, tym kraju dużyn.
Wszyskim b. zawadza Murzyn
Nie ma bowiem na to rady —
Każdy Murzyn ma trzy wady:
Pierwsza, że czarny, druga, że czarny,
Trzecia, że czarny! Yes!

Chce wejść Murzyn do tramwaju,
Do tramwaju nie wpuszczają.
Do Murzyna mówi biały:
„Pan oczernia tramwaj cały!
Pan jest za czarny, pan jest za czarny,
Pan jest za czarny! Yes!

Raz pokochał Murzyn białą,
Bc ogniste serce miał on.
Panna krzywi się i zżyma,
„Idź precz!" — Mówi do Murzyna —
Masz czarne serce, masz czarne serce,
Masz czarne serce! Yes!

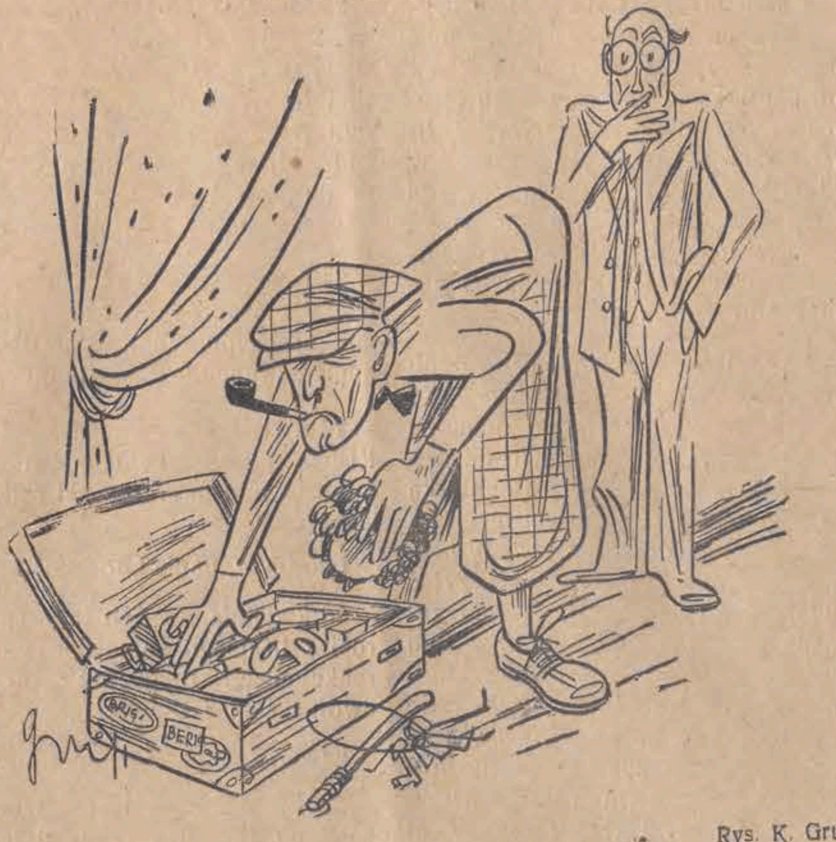
Chce coś kupić w magazynie
Murzyn, mówią mu: „Murzynie!
Pókiś cały, idź stąd lepiej
Bo zabrudzisz towar w sklepie!
Masz czarne ręce, masz czarne ręce,
Masz czarne ręce! Yes!"

Każdy Murzyn zmartwień sto ma,
(Czytaj „Chatę Wuja Toma"),
Kiedy woda płynie z rynien,
Kto jest winien? Murzyn winien!
Czarny charakter, czarny charakter,
Czarny charakter! Yes!"

Każdy: — „Huzia na Murzyna!"
Wybuchł pożar — jego wina!
Murzyn — USA uważa —
Gorszy jest od kominiarza,
Bo jest czarniejszy, bo jest czarniejszy,
Bo jest czarniejszy! Yes!

W USA, w tym kraju dużym
Wszystkim b. zawadza Murzyn,
Nie ma na to bowiem rady —
Każdy Murzyn ma trzy wady:
Pierwsza, że czarny, druga, że czarny,
Trzecia że czarny! Yes!

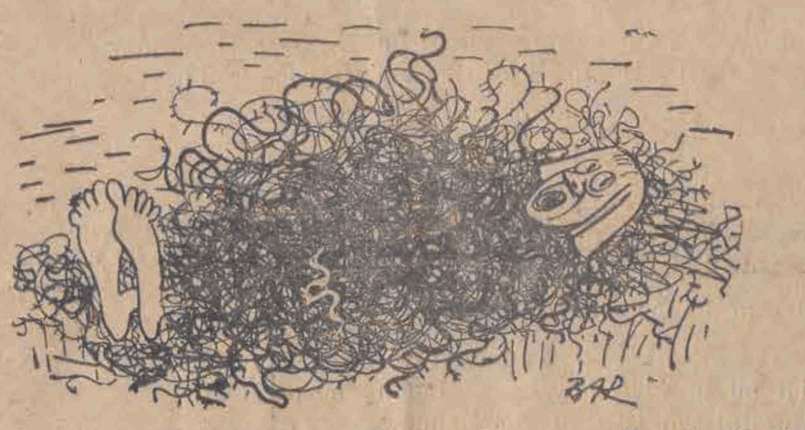
W/g wypowiedzi publicysty emigracyjnego, Cata—Mackiewicza—Polska jest dla Anglii zagadnieniem klasy Intelligence Service, a nie Foreign Office



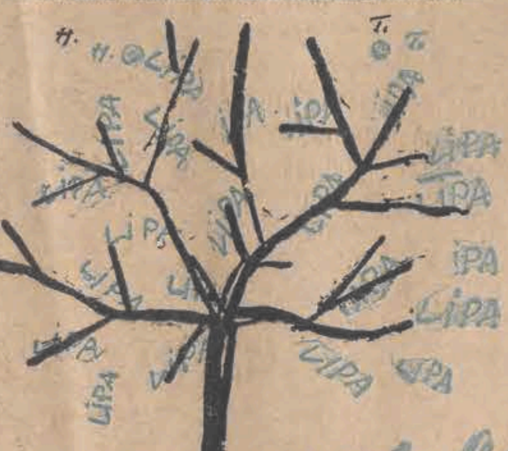
Rys. K. Grus

Sherlock Holmes do przyjaciela swego, dr. Watsona: Jedziemy do Polski!

Pod adresem Konferencji Pokojowej



Pokój: Gwałtu, rozwiążcie mnie! Rys. K. Baraniecki



Wieczory pod Lipą

Ponieważ cała energia słoneczna jest obecnie wyzyskiwana dla celów bomby atotmowej, nic też dziwnego, że lato w tym roku chłodne. Nie usiedlibyśmy nigdy w w tych warunkach pod lipą, gdyby nie okoliczność, że pan Wężykowski z inicjatywy prywatnej przyniósł pół litra wyrobu państwowego, zwanego czystą. Wypiliśmy odrazu pod drzewo, żeby kwitło i listki puszczało, potem pod wózek dziecinny „Konkon" pana Jakuba, żeby mu się (mu — znaczy wózkowi) kółka regularnie kręciły, potem pod nowy krawat w groszki pana Brzózki, potem — pan Bieleniak poszedł wymienić opróżnioną butelkę na pełną.

— He, he — zauważył pan Jakubek — rozpijamy się, a tymczasem wysokie kary za opilstwo wyznaczono.

— Niech się pan tym nie przejmuje — przerwał surowo pan Wężykowski. Prawy Polak szanuje tradycję i pije jedynie w dwóch wypadkach: gdy jest dobrze, albo gdy jest źle.

Uwaga pana Wężykowskiego o tradycji i prawości sprawiła, że zaczęliśmy się zastanawiać, czy na świecie jest źle, czy dobrze. Pan Brzózka momentalnie wygłosił sentencję, że jak komu. Trudno się było co do tego z panem Brzóską nie zgodzić, tym nie mniej poprosiliśmy go o bliższe wyjaśnienie.

— No, więc — zaczął pan Brzóska — naprzykład za dobrze jest dziś Niemcom. Tyle się mówiło, że wojna się na nich skrupi, tymczasem Krupp jak w roku osiemnastym, albo nawet jeszcze lepiej rozkręca swój interes zbrojeniowy. Jakoś nie zanosi się, aby na tym mydle, które robili z tłuszczu ludzkiego, wyszli jak Zabłocki.

— Albo Włosi na osi — dorzucił dowcipnie pan Jakubek.

Dowcip pana Jakubka nie znalazł bynajmniej uznania, gdyż po pierwsze był bardzo stary, a po drugie zupełnie nie prawdziwy. Dlatego nie zdziwiliśmy się, że pan Wężykowski zaprotestował tym goręcej, że właśnie pan Bieleniak, który wrócił z wódką, rozlał kolejkę dla całego Komitetu Domowego.

— Daj, Panie Boże — krzyczał pan Wężykowski — aby Polska cieszyła się taką opieką aliantów jak Włosi. Doprawdy, zupełnie pana nie rozumiem, panie Jakubku: gazet jest u nas przecież, jeśli nie zadużo, to przynajmniej pod dostatkiem, a pan ich najwyraźniej wcale nie czyta. Bo gdyby pan czytał, to by pan wiedział, że Włosi domagają się kolonii, Abisynii i wogóle pozostają z całym poważaniem dla nieboszczyka Mussoliniego, którego zwłoki wędrują w kawałkach od klasztoru do klasztoru po całej Italii.

Tutaj doszło do ostrej wymiany zdań między panem Wężykowskim a panem Bieleniakiem, który stanął w obronie konferencji pokojowej.

— Kant kantem — oświadczył stanowczo — a ja nie wierzę, aby dwadzieścia jeden państw, przysłuchujących się konferencji i cztery państwa, które w niej biorą udział, nie doszło koniec końców do załatwienia sprawy jak należy. Przecież to głowy! Naprzykład Byrnes — łebski człowiek.

— No, ale i Mołotow łebski — dodał z pewnym podziwem pan Brzóska, a cały Komitet Domowy kiwał potwierdzająco głową.

— A Bidault? — zapytał pan Wężykowski, który potrafi wymawiać najtrudniejsze słowa w językach obcych.

Zgodziliśmy się, że i Bidault łebski. Trudności dopiero nastąpiły, gdy padło nazwisko Bevina. Wówczas dopiero wśród członków Komitetu doszło do sprzeczki. Zdania były podzielone. Mianowicie: pan Bieleniak i pan Wężykowski twierdzili ostro, że też łebski, a pan Brzózka i pan Jakubek, że kiepski. Pan Brzózka i pan Jakubek utrzymywali, że mąci, a pan Bieleniak i pan Wężykowski, że łączy. Bardzo ostro się pokłócili, ale wszystko zakończyło się bardzo zgodnie wypiciem następnego pół litra.

Ciekawe, czy przedstawiciele Wielkiej Czwórki piją. Nic tak nie ułatwia porozumienia jak wódka. Tak przynajmniej powiedział pan Wężykowski, a któż się na tym zna, tak jak on?

Stefan Stefański

Stefan Stefański

PIOSENKA o Babci i rencie

(na motywie melodii: „Miała babuleńka kozła rogatego...")

Była babuleńka rodu ubogiego,
latek miała sporo, lecz pieniędzy — nie dość.
Tak, fakt, niestety,
mało miała monety.

Rzekł ktoś do babuni: czemu do tej pory
nie poszła babunia do tej Kasy Chorych?
Raz, dwa, forsę brać,
muszą babci rentę dać.

A ta Kasa Chorych to urząd nie mały:
można łazić po nim śmiało roczek cały.
Bum cyk, wprzód podanie
biorą od babci dwie panie,
potem pan, ubrany modnie,
każe przyjść za trzy tygodnie,
potem za tygodnie cztery
przynieść odnośne papiery,
potem przyprowadzić świadka,
że babunia nie ma dziadka,
potem zeznawać na temat,
że babunia forsy nie ma,
że babunia forsy niema,
sam naczelnik babcię woła:
dymaj, babciu, do kościoła,
musisz dowieść, babciu miła,
żeś w ogóle się rodziła...
Hu, ha, ra, ta, ta,
robią z babki wariata!

Przyznać komuś rentę — to niełatwa sprawa,
życie bowiem życiem, ale grunt ustawa:
Fik, mik, mnóstwo osób
poznała babcia w ten sposób;
tu bariera, tam dwa zera,
ten od podań — to Przechera,
a pan Pipsztok z panem Specem
szuka babci w kartotece
(szuka szczerze, lecz mój Boże,
i przez rok znaleźć nie może),
ile składek zapłaciła —
liczy babci rachmistrz Piła
(że tych składek, twierdzi, mało,
nic na rentę nie zostało),
czy o babci „jest w przepisach" —
sprawdza pilnie p. ref. Łysak,
pan kierownik, pan inspektor,
pan dyrektor i Bóg wie kto...
Hu, ha, ra, ta, ta,
wszystkich dobrze babcia zna.

Długo babuleńka po Kasie chodziła,
aż się, ciężko chora, wreszcie położyła.
Rach, ciach, babcia miła
tak przed śmiercią majaczyła:
chociaż renty nie dostałam
lecz się strasznie przywiązałam
do tych wszystkich tam bez liku
urzędniczek, urzędników,
do Przechery i Pipsztoka,
sekretarki o blond lokach,
do Łysaka, kierownika,
inspektora, naczelnika,
dyrektora i tak dalej,
co mnie stale załatwiali.
Dziś, gdy czuję, śmierć przeszkodzi
mi do Kasy, do nich chodzić,
To do szczęścia mi trze-ba —
Wziąć ich z sobą do nie-ba.

Kajetan Szalej

Pewnej dowcipnej pani

Gdym raz pewnej pani fraszki swe cytował,
Skrzywiła się: „To stare, niedowcipne słowa"!
„Prawda" — rzekłem — „już w biblii są dowcipy lepsze!
Naprzykład: Nie rzucajcie pereł między wieprze..."

B. premier, gen. Sławoj-Składkowski, komendantem straży ogniowej w Tel-Avivie!



Rys. H. Tomaszewski

Ostatni szczebel kariery

Odkrywamy nowe talenty

Od Redakcji.

Jak wiadomo, współczesna literatura satyryczna w Polsce opiera się na niewielkiej grupce ludzi, którzy stanowią zamknięty klan, kapliczkę, towarzystwo wzajemnej adoracji, sezam, paczkę, sitwę itd.

Nowych nazwisk nie widać, choć piszących w Polsce jest bardzo dużo. Nie jest demokratycznie zbywać owych licznych autorów, którzy nie mają wpływów, protekcji, dostępu i znajomości — bezlitosnym „nie skorzystamy", „nie nadaje się", „grafomania" itp.

Pismo nasze postanowiło walczyć z tym ohydnym zwyczajem (będącym smutną pozostałością czasów sanacyjnych), wprowadzając kącik p.t. „Odkrywamy nowe talenty". Tym razem zamieszczamy trzy utwory, szczególną zwracając uwagę na pełen samokrytycyzmu wierszyk ostatni!

PANI — ŚNIŁO SIĘ

„Cecylio, Cecylio, chodź tu do pokoju
Po śnie tak okropnym jestem w niepokoju
Śniła się mnie rzecz straszna, okrutna, mrożąca,
Potym śnie tak strasznym cała jestem drżąca.
Byłam jakby ciężką złożona chorobą:
Śniło mi się, ach śniło, żem
Ja była... tobą".

OLEJ, CZY WODA?

Redaktorku miły dowiedź się dziś o tem,
Że chcąc dogodzić Tobie tworzę wciąż pod płotem,
Lecz, niestety, z głowy (tak to ze mną bywa)
Na papier nie olej, ale... woda spływa.

Utwory powyższe nadesłał Antoni Rybicki.

Władysław Smólski

NA FACETA

O, mój miły facecie,
Po co chodzisz po świecie?
Lepiej umrzyj — na grobie
będzie napis po tobie:
„Tu leży facet... na „ski".
Jest dosłatecznie płaski.

E. Łoszczenko Rys. Z. Wasilewski

Krewniak

Dwa dni szukał wuj swego siostrzeńca Własowa. Dopiero przed samym obiadem, trzeciego dnia, odnalazł przypadkiem. Spotkał go w tramwaju.

Zaledwie wszedł na platformę, wyciągnął dziesięć groszy i już miał zapłacić konduktorowi, a tu nagle — co to? Konduktr jakgdyby ktoś znajomy. Przyjrzał się lepiej — no tak! Ten sam, Własow, we własnej osobie, tramwajarz!...

— Nareszcie — zawołał wujek. Własow! To ty, kochanku?

Konduktor zmieszał się i, obracając w ręku bezmyślnie blok z biletami, rzekł:

— Zaraz, wuju... odbiorę tylko pieniądze...

— Dobrze! Zaczekam — rzekł uradowany wujek. Roześmiał się wesoło i zwrócił się do publiczności.

— To mój rodzony krewniak. Sergiusz Własow. Syn siostry Agaty. Siedem lat go nie widziałem, tego łajdaka!...

Rozanielony patrzał na siostrzeńca i mówił:

— A ja cię od dwóch dni poszukuję, kochanku. Po mieście się włóczę, a ty tu — patrzcie go! Konduktor!... Byłem pod twoim adresem. Na Róznoczynnej. Powiadają, że niema. To gorzej!.. Czyżby policja... panie tego... ptaszku... Dokąd się, do djabła wyprowadził? pytam. Jestem rodzonym wujem! Nie wiedzą. A ty tu — patrzcie go... Ale, powiedz, jesteś konduktorem?

— Konduktorem — odrzekł cicho siostrzeniec.

Pasażerowie z zainteresowaniem oglądali krewniaka. Wujek słodko się uśmiechał i spoglądał czułym okiem na siotrzeńca. Ten zaś wyraźnie zmieszany, w poczuciu godności swego służbowego stanowiska, nie wiedział co mówić i jak się wobec wuja zachować.

— Tak — mówił dalej wujek — — konduktorem, panie tego... Patrzcie go. W tramwaju...

— Konduktorem!

— Co za przypadek! A ja, kochanku, wchodzę do tramwaju — patrzę — co takiego? Konduktor — jak gdybym go znał. A to ty! pal cię sześć!...

— A bym zapłacił! Dalibóg! Gdybym trafił an inny numer, czy chociażbym nie zdążył do tego wagonu — i kwita — bym zapłacił. Nie oglądałbym już własnych pieniędzy. Ach, ty — pal cię sześć! A jadę teraz, kochanku, na dworzec.

— Proszę za bilet — beznadziejnie rzekł konduktor, unikając jego spojrzeń.

Przeczuwając poważny obrót sprawy, wujek rozłożył ręce, wyjął monetę napowrót, potem znowu schował.

— Nie — wybełkotał — nie mogę! Nie mogę ci smarkaczu zapłacić, wolę wysiąść.

Wujek z oburzeniem wstał uroczyście i skierował się do drzwi. Nagle stanął.



Wujek gniewnie skrzywił usta i spojrzał groźnie na siostrzeńca.

— Cóż ty?... własnego wuja? obdzierać?

Konduktor smutnym wzrokiem patrzał w okno.

— Bezczelność — mówił wuj gniewnie. Ja cię, psia krew, siedem lat nie widziałem, a ty co?... Pieniędzy żądasz? Od rodzonego wuja? Czego machasz ręką? Chociaż jesteś mym rodzonym krewniakiem, twoich rąk się nie boję. Poco machać, poco wiatr podnosić!..

Wujek pokręcił w garści monetę i schował do kieszeni.

— Widzieliście coś podobnego, bracia? — zwrócił się do publiczności — Rodzonego wuja rabuje. Płacić, powiada. Co?

— Proszę się nie gniewać, obywatelu wuju. Z powodu tramwaj nie mój. Tramwaj państwowy. Społeczny.

— Społeczny? — rzekł wujek. — Mnie to nic nie obchodzi. Mógłbyś ty, psia krew, uwzględnić rodzonego wuja. Mógłbyś powiedzieć: schowaj wujku swoją krwawicę. Przejedź się — na zdrowie. Tramwaj od tego się nie rozpadnie. Onegdaj jechałem w pociągu...

— Wuja?... Rodzonego wuja przepędzasz?... zawołał z wściekłością. — Ja ci smarkaczu... Ja cię, ja cię rozstrzelać mogę...

Spojrzał druzgocącym wzrokiem na swego siostrzeńca i wyszedł z tramwaju.



— No, jak się cieszę... Bardzo się cieszę! Konduktor podreptał na miejscu i nagle:

— Trzeba płacić wujku. Za bilet...

— Nie? Na serio — zdziwił się wujek.

— Musisz płacić, wuju! — rzekł łagodnie konduktor. Z powodu — zadarmo nie można.

Wujek rozkosznie się uśmiechnął i uderzył żartobliwie konduktora po torbie.

Konduktor, obcy człowiek, nie rodzony krewniak i ten powiada: proszę bardzo nic nie szkodzi... Owszem, siadajcie. I przywiózł, gdzie trzeba... nie krewniak. Zaledwie znajomy — z naszych stron. A ty co — rodzonego wuja... Nie dostaniesz pieniędzy!

Konduktor rękawem przetarł czoło i nagle zadzwonił.

— Proszę zejść, obywatelu wuju — rzekł oficjalnym tonem.

Władysław Orłowski



Osoby:

Frank O'Connor (kandydat na senatora, prezes spółki „O'Connor & Co").

Pierwszorzędna Siła (Jenny Smith, sekretarka osobista O'Connora).

Petentka.

Gangster.

Rzecz dzieje się w gabinecie O'Connora, V Avenue w Nowym Jorku.

SCENA I.



O'Connor (kandyduje na senatora)

Pierwszorzędna Siła (pisze na maszynie — 200 słów na minutę).

Petentka (wchodzi): Helo!

O'Connor (ani drgnie — kandyduje na senatora).

Pierwszorzędna Siła (nie przerywając pisania): Helo!

Petentka: Mr. O'Connor?

O'Connor (obojętnie, nie przestając kandydować): Yes.

Petentka: Jestem Francis Millton.

O'Connor: Hm?

Petentka: Chciałabym dostać u pana posadę maszynistki.

O'Connor: Chciałaby pani być u mnie maszynistką? Niemożliwe. U mnie może pracować tylko pierwszorzędna siła.

Petentka: Ależ...

O'Connor: Skończyłem. Good by! (kandyduje).

Petentka (wychodzi).

Pierwszorzędna Siła (spogląda zjadliwie za petentką, a gdy drzwi się zamykają): My darling! (siada O'Connorowi na kolanach).

O'Connor (kandyduje na senatora).

SCENA II.

O'Connor (dyktuje Pierwszorzędnej Sile): „Do pani Francis Millton. Z przykrością muszę odpowiedzieć odmownie na pani list. Nadal nie ma dla pani pracy. Zatrudniam tylko pierwszorzędne siły"

Pierwszorzędna Siła (pisze — 200 słów na minutę).

SCENA III

O'Connor (przez telefon): Nie, miss Millton, nic z tego. Nie mam dla pani posady.

SCENA IV



O'Connor (kandyduje na senatora)

Pierwszorzędna Siła (pisze — 200 słów itd.)

Gangster (wchodzi w masce, z odbezpieczonym browningiem w dłoni): Ręce do góry!

O'Connor: protestuję (podnosi ręce do góry)

Pierwszorzędna Siła (ditto).

Gangster: Dawać kluczyk od kasy! (otwiera kasę, zawartość pakuje do walizki)

O'Connor (jęczy): Pan mnie rujnuje!

Gangster: Muszę to robić. Dla chleba. Nie mam posady.

O'Connor: Dam panu dobrze płatną posadę. Jaką tylko pan zechce!

Gangster (zrywa maskę): Posadę maszynistki!?

O'Connor (dębieje): Miss Millton?!

Pierwszorzędna Siła (mdlejąc): Słabnę!

O'Connor: Co? Piewszorzędna Siła słabnie? Zwalniam panią z posady, miss Smith. Od dziś sekretarką moją będzie miss Millton. Ja zatrudniam tylko pierwszorzędne siły!

Ex-Pierwszorzędna Siła (wychodzi, pochlipując).

Ex-Gangster, Obecnie Pierwszorzędna Siła (siada O'Connorowi na kolanach).

O'Connor (kandyduje na senatora).

KURTYNA.

dekoracje H. Tomaszewskiego.

W. L. Brudziński

Rys. R. Kańska



— A jak się dziecko chowa? — pytają mnie znajomi.

— A chowa się, chowa, jak kominiarza zobaczy, to już go nie ma, szur pod stół — odpowiadam niezmiennie.

— He, he — zawsze się go po staremu żarty trzymają — mówią znajomi i rozchodzą się zadowoleni do domów: — Co to, miesięczne dziecko nie dorosły, żeby się pod stół chowało!

A mnie gdzie tam do żartów. To Aprowizacji żarty się trzymają. Niebylejakie w



Pierwsze dwa tygodnie karmiliśmy z żoną dziecko piersią. Rosło dzielnie, waga przepisowy ciężar wskazywała. Rozwój był — można powiedzieć — normalny. Podpisać się jeszcze nie umiało, wiadomo, małoletni analfabeta, ale co do pieluszki, to owszem, potrafiło.

Ale jak tylko dostaliśmy na dziecko kartki, zaraz coś nam na nie przydzielono. Najpierw dziesięć puszek skondensowanego mleka. Co z tym zrobić. Żona mówi — „samemu trzeba wypić". Ale jakżeż to można wobec nieuświadomionego młodego obywatela oszustwo uprawiać! Jemu przecież te puszki przydzielono! Kazałem mu dać. Otworzyliśmy, daliśmy mu wypić — owszem, wyżłopało, trochę się tylko o blachę zacięło w górną wargę. Chore też bardzo nie było, coś z tydzień tylko. Ale to hartuje, bo czekoladę z następnego przydziału na jeden raz zjadło. Także puszkę z lemoniadą, że to gorąco bardzo było, szczeniak wypił. Soku pomidorowego tylko nie chciał. Po mnie to ma, bo ja też pomidorów nie lubię.

Ale potem już wszystko jadł — i pół kilo sera i rybną konserwę i beef and gravy. Tylko lemoniadą czasem popijał i o więcej krzyczał. Mamy z nim teraz święty spokój. Na kartkowym wikcie sobie wzrasta i mleka mu kupować nie trzeba. Zawsze i to oszczędność.

Gorzej z matką. Od czasu, jak szczeniak z kartek żyje, żona własnym pokarmem się odżywia, bo zmarnować szkoda. Czuje się całkiem dobrze. Zaczyna już nawet „mama" i „tata" mówić. Ważymy ją codzień na wadze — po dwadzieścia gramów przepisowo jej przybywa.

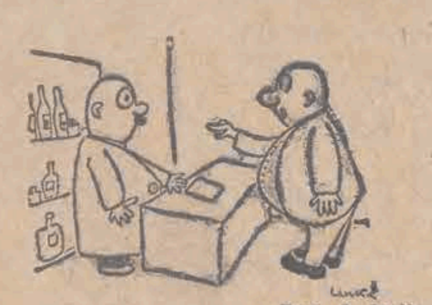
I tak by było wszystko w porządku, kiedy na raz szczeniakowi dwa kilo śledzi na kartki przydzielili. Dajemy mu te śledzie z octem i cebulką. Owszem, zjadł, usiadł w wózku i powiada: „Zagrycha jest, ale gdzie wóda, do jasnej cholery?! Że człowiek ma dopiero miesiąc, to już go kantować chcecie?!"

I masz tu kłopot. W istocie: śledź — potrawa spirytusowa. A wódki, psiakrew, jak dotąd, na dziecinne kartki nie dają. Bałagan w tej Aprowizacji, czy co?



Rys. J. Linka

— Nie ziewaj, Hilary, bo widać, że masz z tyłu dziurę w spodniach.



Rys. J. Linka

— Proszę o środek na porost włosów, ale taki, którego pan nie używa.



Rys. Lenica

— Jakto, panie Bodliczka, choruje pan na żołądek, a nosi owiniętą rękę?

— A co, mam sobie może obandażować żołądek?

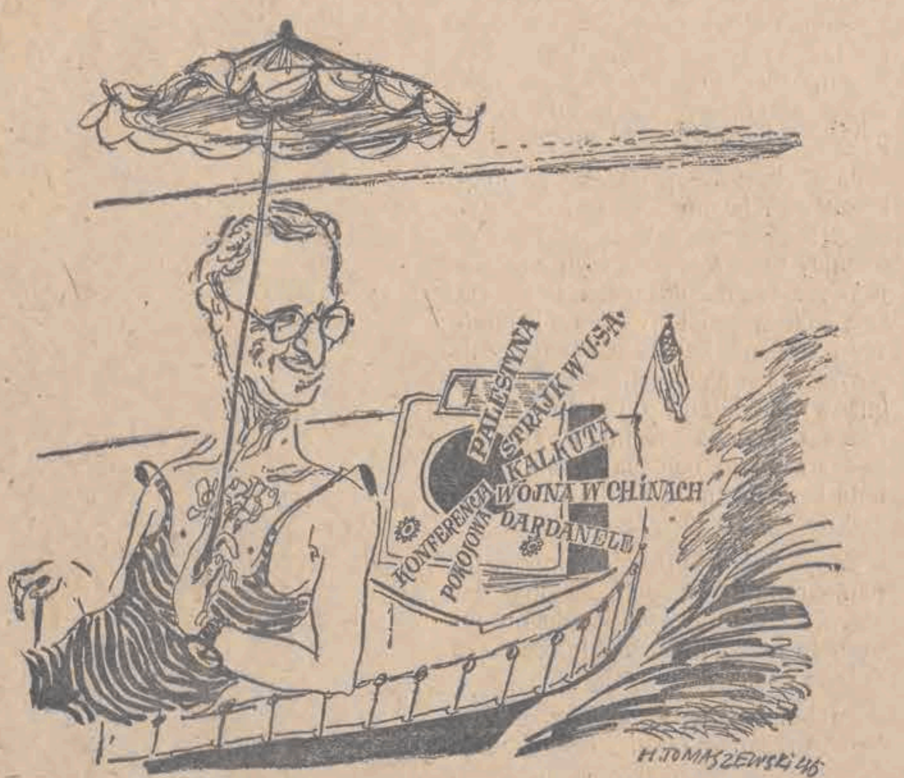


Rys. Lenica

— Patrz pan, to wszystko z puszek!

— O rety! Żona też?

Prezydent Truman wyjechał na morze na 17 dniowy „odpoczynek"



Rys. H. Tomaszewski

Nie straszny dla nas burzy czas...

MIĘDZY WALUCIARZAMI

Szeptał handlarz handlarzowi zatrwożone słowa:
„Ty swój portfel przed zaśnięciem pod poduszkę chowaj!"
Na to parsknął śmiechem drugi i rzekł, mrużąc oko:
„Spróbuj zasnąć, ułożywszy głowę tak wysoko!"

KAJETAN SZALEJ

Nowy dowód osobisty

W miejsce kennkart, stanowiących dotąd dowód osobisty, urzędy Łódzkie (a pono i warszawskie) — z dniem 1. IX. 1946 r. wprowadzają nowe świadectwo, które wartością swą przewyższa kennkartę:

Od dnia 1. IX. 1946 r.

nie przyjmuje się interesantów

nie posiadających urzędowego świadectwa szczepienia przeciw durowi brzusznemu na rok 1946

Pozostajemy w niepewności, czy od 1. IX. 1946 będzie można bez świadectwa szczepienia durowego mieć wstęp do kościoła, tramwaju, wagonu PKP., restauracji, teatru, kina itd.

Nie wiemy również, czy z naszej strony nie będzie to krokiem anarchicznym i podkopującym znaczenie dokumentu, ale „Rózgi" będziemy sprzedawali i tym, którzy nowego urzędowego dowodu osobistego nie okażą.

Z czego śmiali się nasi dziadkowie

(Kurier Świąteczny z 1871 r.)



Powrót z wojny zwycięskiego męża do zwyciężonej żony

Panie redaktorze!

Chodzi mi o sprawę, o której powinni się wypowiedzieć starsi, a nie taki smarkacz, jak ja (tak przynajmniej mówi moja ciotka), ale, że ja się nie wypowiadam, tylko pytam, więc myślę, że mogę.

Ja w sprawie tej walki ze spekulantami. Niema Pan pojecia, Panie Redaktorze, jak w naszej kamienicy wszyscy ucieszyli się, że już raz będzie porządek i, że się szkodników pozamyka, a biedniejszy naród nie będzie narażony, jak powiadają, na kombinacje tych łobuzów, co z bliźniego ostatnią skórę zedrą i jeszcze im mało. To też, jak powiadam, uciecha w kamienicy była i nawet moja ciotka mruknęła pod nosem, że to sprawiedliwie.

A jak już moja ciotka powie, to, panie redaktorze, cud, bo ona jest starej daty i naszego Rządu nie lubi, a tu naraz powiedziała, że Rząd dobrze robi.

Ja też mówię, że dobrze, ale ja, to widzi pan redaktor, jestem wrażliwy czyli, jak to mówią, subtelny, to mnie się jedna rzecz nie podoba. A jaka — zaraz powiem:

Do inicjatywy prywatnej wchodzą delegaci Komisji Specjalnej, żeby zrobić przegląd książek czy wogóle zbadać jak się prowadzi pod względem spekulacji.

Właściciel takiej inicjatywy jest, jakby nie było, obywatelem. I to takim samym jak ten delegat Komisji Specjalnej co do tego obywatela przychodzi. No, niech pan powie, czy nie? A widzi pan! Bo przecież Rząd żadnej różnicy nie robi, czy to urzędnik, czy zwyczajny prywatniak. A tu raptem urzędnik jak przychodzi z rewizją — to odrazu na tego prywatnego jak na przestępcę. Że np. mięso sprzedaje w zakazane dni! Jeszcze nie skontrolował dobrze, jeszcze nie udowodnił, a już krzyczy. Pewnie, że taki delegat bardzo często trafi i rzeczywiście łobuziaka przyłapie — ale nuż się zdarzy, że wpadnie na niewinnego? Bo przecież trudno uwierzyć, żeby wszyscy byli łobuzami. A poza tym ja nie mówię, że wszyscy delegaci są tak źle wychowani. Nie! Napewno większość z nich, to ludzie kulturalni i swoje zadanie spełniają bez krzyku, jak na urzędnika przystoi — ale są wypadki, że niektórzy krzyczą. I niech się zdarzy, że taki niekulturalny delegat krzyknie na naprawdę niewinnego?

Za wzór możemy wziać sądy. Nawet największego zbrodniarza przed wyrokiem traktują tam jak obywatela normalnego i nikt na niego nie krzyczy — dopiero po wyroku lepią mu karę — a tu przed udowodnieniem facetowi, że praktykuje na lewo — już wrzask. A tak się nie robi. Bo Komisja Specjalna to inistytucja poważna, która uzdrawia stosunki i cieszy się zaufaniem — a tylko pewna liczba jej członków tego nie rozumie i swoim zachowaniem podrywa znaczenie tej Komisji.

Ja o tym piszę bo znam taki wypadek, a ja bym nie chciał, żeby ktoś miał pretensje do organów wykonawczych. Jak rozporządzenie jest dobre, to niech będzie i wykonanie dobre. Tak mi się wydaje. Czy mam rację, czy nie? Ja wiem, że pan mi powie, że mam.

Ignaś Wójcik



Rys. Z. Wasilewski

— Jak to dobrze, Wicek, że człowiek ma dziury tam, gdzie oczy, bo by nic nie widział.



Rys. Z. Wasilewski

— Powiedziałeś podobno o mnie, że jestem idiotka, czy to prawda?
— To prawda — ale ja tego nie powiedziałem

ANEGDOTY

Ktoś spotkał w Pałacu Sprawiedliwości lorda Thurlow i powiedział mu, że kelnerka z kawiarni Nandot urodziła dziecko.

— Cóż to mnie obchodzi? — powiedział lord.

— Mówią, że to jest dziecię mylorda!

— A cóż to pana obchodzi?

*

Georg Selvin spacerował pewnego dnia po Hyde Parku w towarzystwie pań. Jedna z nich dała upust swemu oburzeniu z powodu wielu kąpiących się w rzece.

— To prawda, powiedział Selvin, nic nie może być bardziej nieprzyzwoitego, jak pozwalać na to, aby te dziewczęta biegały całkiem nago po piasku w publicznym miejscu.

— Dziewczęta? — zawołała dama — ależ to są chłopcy!

— Rzeczywiście — powiedział lord, omyliłem się; w każdym razie uznaję wyższość pani sądu w tym względzie.

*

Pomiędzy hołdowniczymi pismami, składanymi Jakubowi Pierwszemu, znajdowało się jedno, gdzie życzono, aby panował tak długo, dopóki świeci słońce, księżyc i gwiazdy.

— Dalibóg, powiedzał król do osoby, która mu ten hołd składała, mój syn musiałby w ten sposób panować przy świecach.

*

Pewien uczciwy wieśniak, nowozamieszkały we wsi, był powszechnie lubiany, dzięki swemu dobremu charakterowi. Pewnego razu spotkało go nieszczęście: krowa mu zdechła. Strasznie się tym zmartwił, a żona jego nie mogła przeżyć tego nieszczęścia i wkrótce również zeszła do grobu. To nowe nieszczęście sprawiło, iż młodzieniec stał się niepocieszony i nie wychodził przez parę miesięcy z domu. Wreszcie sąsiedzi uważali za konieczne pocieszyć biedaka. Zeszli się tedy do niego i jeden z nich powiedział:

— Mój przyjacielu, kobieta, którą straciłeś była doskonałością, ale przecież to nie jest jedyna kobieta; jesteś młody, silny i dobrego prowadzenia, z łatwością możesz ożenić się powtórnie; ja mam, naprzykład trzy córki i bardzobym się cieszył, gdybym cię miał za zięcia.

— Mój Boże! — zawołał wdowiec, gdzie ja jestem? Kiedy mi żona umarła, to mi powiadacie, że ją mogę z łatwością zastąpić. A gdy straciłem krowę, to mi nikt innej nie zaofiarował!

*

Pewien chłop z Essex przybył po raz pierwszy do Londynu i spacerując po ulicach ujrzał przy drzwiach pewnego kupca obok Market-Lane sznurek, a na nim pięknie wyrobioną rączkę drewnianą. Nie mogąc zgadnąć, co to jest, począł się przyglądać temu przedmiotowi i poruszać go; gdy go pociągnął zbyt mocno, dzwonek zadzwonił i gospodarz otworzył drzwi.

— Co pan sobie życzy? — zapytał.

— Nic proszę pana; poprostu bawiłem się tą zabawką, która wisi przy pańskich drzwiach.

— Skąd pan jest?

— Z Essex, panie, do usług.

— Odrazu się domyśliłem, gdyż często słyszałem, że w Essex dość jest uderzyć laską w krzak, a wyleci indyk.

— To możliwe; ale ja widzę, że w Londynie dość jest zadzwonić, a ukaże się rogacz.

Przedruk bez podania źródła wzbroniony. „Rózgi" ukazują się co tydzień. — Redakcja: Łódź Piotrkowska 98. D 09341
Redagują: Stanisław Sojecki, Stefan Stefański, Henryk Tomaszewski. II
Przyjmuje się codziennie od 12-ej do 14-ej. Wydaje „Łódzki Instytut Wydawniczy", Żwirki 17, tel. 206-42.